

Przyjęło się mówić a niektórzy nawet tak twierdzą że krótkofalowiec mieszkający na wsi to ma wspaniałe życie. Pewnie jest w tym dużo prawdy bo to i własny dom i ogród z miejscem na anteny.

Sprawdziłem to jednak na sobie że wszystko dobrze ale nie na początku bo problem z każdym opornikiem, najbliższy sklep z częściami 30 km itd. Łatwo na pewno nie było. Miałem jednak to szczęście że urodziłem się w rodzinie pocztowców gdzie ojciec był naczelnikiem a mama telefonistką więc wynalazek Bella miałem pod ręką prawie zawsze a to dla młodego człowieka oznacza szerszy kontakt i pierwszą przygodę z łącznością. To że telefon był na korbę / ile to czasu minęło zanim się dowiedziałem że to MB/ i że nie wiele było przez niego słycać to już inna sprawa. Inni tego nie mieli i był powód do zazdrości. Pierwsze eksperymenty z łącznością odbywały się właśnie na tym telefonie i napowietrznej linii która do niego dochodziła /wiele lat później posłużyła mi za antenę, super sprawa, 2 km drutu na izolatorach/. Pewnie na tym wszystko by się skończyło gdyby nie lokalna gazeta którą tata regularnie przynosił. W wieku sześciu lat umiałem tą gazetę przeczytać i pewnego dnia dowiedziałem się że w niedalekiej Częstochowie mieszka krótkofalowiec który rozmawia nawet z Brazylią. Mowa oczywiście o Czarku SP9CV którego poznałem wiele lat później i przyjaźniłem się do jego ostatnich dni. Najciekawszą jednak była przygoda jaką ta gazeta opisywała a której Czarka żona była główną aktorką. W tamtym czasie koło jego domu a mieszkał w samym centrum miasta, był dworzec autobusowy MPK. Pewnego dnia jego żona wróciła z pracy i zapomniawszy swojego klucza próbowała dostać się do domu. Nie pomagało wielokrotne dzwonienie ani pukanie do drzwi bo małżonek ze słuchawkami na uszach rozmawiał sobie z kolegami. Znając z autopsji całą sytuację i nie widząc innego wyjścia, postanowiła skorzystać z bliskości miejskiej komunikacji i pojechała

do innego krótkofalowca mieszkającego jednak w dosyć odległej dzielnicy Częstochowy i tam poprosić o pomoc. Oczywiście kolega pomocy nie odmówił ale strefa martwa nie pozwoliła na bezpośrednią łączność bo Czarek rozmawiał na wyższych pasmach. Po chwili jednak wpadł na pomysł że zawoła korespondenta z Brazylii, przekaże o co chodzi i sprawę załatwi. Ile było na paśmie śmiechu zanim brazylijczyk powiedział Czarkowi otwórz żonie drzwi, wiedzą tylko sami zainteresowani. Mnie młodemu człowiekowi dało to jednak dużo do myślenia a efekty tego widać do dzisiaj mimo że minęło prawie 60 lat.

Po jakimś czasie dowiedziałem się że 10 km dalej mieszka jedyny wtedy w powiecie krótkofalowiec, mało tego jest to ten sam facet który przyjeżdża naprawiać nasz telewizor. Tak poznałem Feliksa SP9CAM z którym zażyłe kontakty utrzymuję do dzisiaj i nie ma żadnego problemu że jest odemnie przeszło dwadzieścia lat starszy. Pod jego okiem powstawały później moje pierwsze konstrukcje i zdobywałem szlify operatora radiostacji.

Patrząc z tamtej perspektywy, nigdy nie przypuszczałem że na przykład, spotkam na swej drodze prezesa PZK a jednak tak się stało, w moim domu gościłem ich trzech SP2JMR, 3Z6AEF i SP9HQJ a stosowne wpisy których dokonali są w moim dzienniku łączności. Nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałem że kiedyś uściskam dłoń Przewodniczącego I Regionu IARU a mam foto z dwoma kolejnymi PB2T i G3BN zrobione przy okazji uroczystości rocznicowych w Warszawie i konferencji w senacie.

Następny etap mojej krótkofalarskiej przygody rozpoczął się już trochę później gdy zacząłem uczęszczać do szkoły średniej w Gliwicach. Już w pierwszym dniu mojego pobytu w internacie dowiedziałem się że na sali mam kolegę który należy do klubu

łącności. Musisz mnie tam zaprowadzić zażądałem i tak zostałem członkiem klubu SP9KAG. Przez kilka lat działałem tam dosyć aktywnie a przyjaźnie z tamtego czasu trwają do dzisiaj bo są tego warte. Nauczycieli miałem doskonałych- Jacek SP9CXN to według mnie jeden z najlepszych telegrafistów w SP a Jurek SP9AUV i Andrzej SP9DFH to konstruktorzy których doścignąć nigdy nie potrafiłem i tak już chyba pozostanie. Zapisałem się też do PZK i przyglądałem się pracy nieocenionego sekretarza Leona SP9DL i jego żony Urszuli którzy wtedy prowadzili katowickie biuro i wszystko tam pracowało jak szwajcarski zegarek. Dostałem też nareszcie swój pierwszy znak SP9 2220 i tu dopiero się zaczęło bo praca w zawodach to było to czego mi było trzeba. Ile tych zawodów wygrałem jako nasłuchowiec nie pamiętam bo dyplomy gdzieś przepadły ale puchary i karty qsl mam do dzisiaj. Ciekawostka, pierwsza qsl jaką dostałem była od Włodka, wtedy SP9EQZ.

Niedługo potem przypomniało sobie o mnie wojsko i nie było odwołania, znalazłem się w jednostce raketowej i to na białych niedźwiedziach bo tak się wtedy mówiło o województwie suwalskim. Czemu nie w łączności jak wszyscy moi koledzy, nie wiem do dzisiaj. Miało to też swoje dobre strony bo poznałem osobiście człowieka którym wcześniej rozmawiałem, Franka SP4HEO /sk/.

Po powrocie do cywila dostałem zaproszenie na zjazd ZOW PZK w Częstochowie i wciągnięto mnie w wir działań społecznie użytecznych. Przez kilka lat byłem KF Managerem a wszyscy członkowie dostawali co miesiąc, przepisywane na maszynie QTC CZ z najnowszymi wiadomościami nie tylko z eteru a częstochowskie przodowało w klasyfikacji najaktywniejszych w SP DX Conteście.

Poznałem wtedy wszystkich krótkofalowców z SP9KDA z Olesna i okazało się że jest do bardzo zgrana grupa wspaniałych kolegów.

Należę do tego klubu do dzisiaj a od 2000 roku jestem jego prezesem. Dochodzę jednak do wniosku że 20 lat wystarczy i za nie długo oddam stery młodszym kolegom bo też muszą umieć, chodzić po urzędach, załatwiać co się da i niech się przekonają że nie są to takie proste sprawy. Opisanie wszystkich przygód jakie razem przeżyliśmy zajęło by bardzo dużo czasu i nie wiadomo czy komuś chciało by się to czytać. Na przykład przez 24 lata jeździliśmy na górkę w Truskolasach, to hałda po kopalni rudy żelaza zamkniętej w latach 60-tych. Fajnie położona bo usypana na sporym wzniesieniu, razem około 350m.n.p.

Agregat prądotwórczy to rzecz wtedy nie spotykana i prąd brało się prosto ze słupa na który musiałem wchodzić ja, ale do czasu... Razu pewnego młodzi klubowicze postanowili że jak są wakacje to oni jadą na górkę już na początku tygodnia. Jeden z nich nazwany przez nas Pyrkciem ciągle narzeka że przez nasze rozmowy rozładowała mu się komórka, ciągle na ten temat marudził i nie było na niego rady. Nadeszła jednak chwila kiedy trzeba było wejść na słup, Pyrek wchodzi, padło hasło i ten nieco się ociągając zaczyna wspinaczkę. Będąc tak w połowie spojrzał w dół i zwątpił... A co będzie jak mnie prąd kopnie... Woła z góry... A z dołu słyszy odpowiedź... To ci się komórka naładuje... Wchodzi! Śmiejemy się z tego do tej pory mimo że minęło z górą dwadzieścia lat.

Na jedną z naszych górkowych wypraw przyjechał młody wtedy człowiek z Zawiercia. Przez dłuższy czas rozkładał swój bogaty jak na tamte czasy ekwipunek w postaci eleganckiego namiotu o którym my mogliśmy tylko pomarzyć. Długo dmuchał równie piękny materac i tak przygotowany czekał nocy. My jednak mieliśmy swoje tradycje i po południu padło pytanie... Feliks przyniosłeś to swoją miódówkę... To nalewaj i tak nam zeszło do wieczora. Zmęczeni nieco, postanowiliśmy że przysiadzimy w trójkę na brzegu tego pięknego materaca i będziemy kontynuować nasze rozmowy co nieco również

popijając. Efekt końcowy był łatwy do przewidzenia. Młody człowiek zaglądając nocną porą do swojego namiotu zastał śpiących tam w najlepsze kolegów a miejsca dla niego już tam nie było. Gdzie spał nie wiadomo. Na naszą górkę więcej nie przyjechał, spotkaliśmy się trzydzieści lat później na Łosiu i znów była okazja do śmiechu bo było co wspominać.

O przygodach na tej górce można by jeszcze długo my jednak postanawiamy że trzeba by wyżej, może w górach itd. Na tradycyjnym spotkaniu noworocznym w klubie w 2000 roku postanowiliśmy rozeznaczyć sprawę i okazało się na Biskupiej Kopie ktoś zbudował małą chatkę z masztem i anteną. Znów padło na mnie.... Bo ty wszystkich znasz i ciebie znają to dowiedz się co i jak. Już za kilka dni dzwonię do Mietka SP6EZ /sk/ jednego z budowniczych domku na Kopie i słyszę... Dla ciebie zawsze! Możecie przyjeżdżać kiedy chcecie... Pierwszy raz pojechaliśmy na lipcowe zawody UKF w roku 2000. Ile razy tam byliśmy nie wiadomo, nikt tych wyjazdów nie liczył ale przyjaźnie tam zawarte trwają do dzisiaj i są ciągle intensyfikowane. Wiele razy pracowaliśmy z Kopy w zawodach ale również wtedy gdy była robota przy budowie nowego domku, masztu jak i czeskiego schroniska bo tak wygląda nasza trans graniczna przyjaźń która może być sztandarowym przykładem dla innych. Kilkakrotnie był też z nami prezes PZK a w czasie jednego z corocznych spotkań w pierwszy weekend sierpnia od czeskich kolegów słyszymy, jak to jest że wasz prezes jest tu już trzeci raz a naszego nie było jeszcze wcale... Co można im było poradzić... Wybierzcie innego prezesa... I znówu była kupa śmiechu bo w ogóle to tam jest zawsze wesoło, to takie specyficzne miejsce.

Kiedyś siedząc nocą przy ognisku, w międzynarodowym towarzystwie złośliwy wiatr zdmuchnął nam plastikowe kubki i wszyscy zaczęli się zastanawiać z czego się teraz napijemy.

Ja wam zaraz pokaże z czego odezwała się żona jednego z czeskich krótkofalowców i sięgnęła do plecaka.

Wyjęty litrowej pojemności koniak odkręciła, wypita dwa łyki i podała siedzącemu najbliżej. Tym sposobem butelka kilka razy wędrowała dookoła a śmiechu i wesołych komentarzy było co niemiara. Jakoś nikomu to nie przeszkadzało mimo że słychać było co najmniej cztery różne języki ale tak to już jest między przyjaciółmi którzy każdego roku spotykają się na szczycie Biskupiej Kopy żeby się lepiej poznać, śmiejąc się i żartując z czego się da. A było również tak...

Jednego razu ktoś znalazł sporych rozmiarów kolczatkę dla dużego psa a jeden z czeskich kolegów wymyślił dla niej inne zastosowanie i odwróconą kolcami na zewnątrz, ozdobioną zielonymi liśćmi, założył na głowę. Jako że był to człowiek solidnej postury to wszyscy go musieli zauważyć. Po chwili jednak nasz Paweł postanowił rozweselić zebranych... Podszedł bliżej, złożył głęboki ukłon, oznajmiając donośnym głosem Ave Cezar bo i siedzący na ławce żartowniś do złudzenia Cezara przypominał. Za chwilę salwa śmiechu wybuchła jeszcze wiele razy bo chętnych do składania hołdu było więcej a przyjmujący je odpowiednio to komentował wydając przy tym różne polecenia, klęknij, wstań, siadaj i to w różnych językach. Wszystkim tak się to spodobało że wspominają to wydarzenie co roku.

Za którym z kolei wyjazdem musimy się mocno przyłożyć do roboty bo trzeba zakopać nowy kabel doprowadzający do naszego domku prąd i nie ma wyjścia kopiemy. Łatwo nie jest bo grunt wiadomo jaki ale w okolicach południa widzimy idących dwóch ludzi z puszkami i pędzlami w rękach. Należy nam się chwila oddechu więc przy okazji pytamy co robią w tym trudnym terenie i okazuje się że malują słupki graniczne. Przyznali się również że mieszkają w Jarosławiu nad ukraińską granicą. Powszechny wybuch śmiechu nastąpił w chwili

kiedy stwierdziliśmy że do pomalowania mają jeszcze prawie wszystkie słupki z Czechami potem ze Słowacją a do domu dotrą tak na nasze oko za około dwa lata. Od tego zdarzenia minęło już trochę czasu ale my wchodząc pod górę patrzymy na te ich odnowione słupki i znów jest wesoło bo ktoś się pyta, ciekawe czy już wszystkie pomalowali...

A było też tak... W pracy dostałem troszkę wolnego... Razem to trzy dni więc jadę na Kopę odpocząć. Już przed wieczorem jestem na szczycie i po kolacji, zainstalowany w naszym domku zasiadam do radia. Jestem wysoko to i słyszeć znakomicie ale już w czasie trzeciego qso, kątem oka zauważam jakiś ruch na moim stole. Z otworu na kable wysunęła się głowa jakiegoś zwierzątka patrzącego się na mnie z ciekawością mimo że cały czas mówię do mikrofonu. Za chwilę na stole stoi już cały zwierzak i oparty przednimi łapkami o moje radio przygląda się co tu robi ten facet. Trochę większe od wiewiórki i ubarwione na szaro, wygląda na bardzo ciekawskie. Z uśmiechem na twarzy relacjonuję kolegom to zdarzenie ale nikt nie wie co to takiego za to rozpoczynają się pytania... Co piłeś ? Dużo tego było...? Dopiero przy okazji następnych wizyt na Kopie, spotkałem znawcę tematu. To popielica, zwierzak który jest aktywny tylko trzy miesiące w roku, resztę śpi. Jako że jest spokojnie to w ciągu pół godziny w naszym domku urzędują już cztery takie stworzenia a co robią przekonałem się na drugi dzień rano. Zaglądały do plecaka i z mojej chińskiej zupki na obiad został tylko papierek a kawałek bochenka chleba trzeba było odkroić bo był solidnie napoczęty. Urzędowały całą noc, czasem nawet skutecznie mnie budząc ale w sumie to bardzo mili goście.

.....

Kiedyś jeden z blisko mieszkających kolegów poprosił o pomoc we wciągnięciu na maszt kratowy 5 elementowej anteny na KF. Zebrani podzielili między siebie robotę i dwóch na szczycie masztu, dwóch odciąga antenę na boki a pozostali ubezpieczają z dołu. Konstrukcja jest już w połowie masztu a tu z za rogu wychodzi kondukt pogrzebowy. Jak na komendę, wszyscy żałobnicy podnoszą głowy do góry i idąc wolnym krokiem przyglądają się naszym działaniom. My jednak nie potrafimy powstrzymać się od śmiechu bo oto pojazd z trumną już daleko odjechał a to co robimy jest o wiele ciekawsze i budzi większe zainteresowanie bo zgromadzeni specjalnie zwalniają żeby więcej widzieć. Wspominamy o tym ciągle, będąc w tej miejscowości i jest okazja do wesołych skojarzeń.

Bywaliśmy też za granicą i to nie raz silną grupą a najlepsze wypadły do zjazdu w Popradzie na Słowacji. Trochę to daleko i cały dzień jazdy bo drogi jakie są każdy wie...

Wygody jakie zastajemy na miejscu wszystko nam wynagradzają bo zjazd odbywa się w hotelu, mamy dobre wyżywienie i praktycznie można nigdzie nie wychodzić przez trzy dni. Nasi koledzy to jednak nie spokojne duchy i postanowili że idą zwiedzać miasto. Mnie jednak ta wycieczka nie odpowiada i zaczynam odwiedzać poszczególne stoiska z naszym sprzętem. Już w pierwszym pomieszczeniu widzę trzech facetów którzy na mój widok zaczynają się dziwnie uśmiechać i porozumiewać się wzrokiem. Zaskoczony tą sytuacją zastanawiam się czy przypadkiem nie jestem gdzieś ubrudzony itp. Przyglądam się też ich identyfikatorom i już wiem że to Węgrzy ale żaden ze znaków nie jest mi znany, więc co do diabła, powoduje te uśmiechy ? Postanawiam że muszę to wyjaśnić i pytam o znak klubowy, który i tak mi nic nie mówi.

Konsternacja trwa, a ja udaję że oglądam to co na wystawie ale ciągle gorączkowo myślę co jest powodem... Po chwili przychodzi mi do głowy pomysł... A jaki macie znak kontekstowy, pytam HA6W pada odpowiedź i tu was mam.... Teraz śmiejemy się wszyscy.

Rozmawiamy w każdym zawodach na UKF a uśmiechali się dla tego że na identyfikatorze oprócz mojego, miałem też znak klubowy SP9KDA, który dobrze znali. Dalej nie mogło być inaczej, kiedy kończycie handel a możemy już bo ruchu nie ma... To idziemy do naszego pokoju bo takie spotkanie trzeba uczcić. Jaki mógł być tego efekt, nie trudno się domyślić. Po powrocie moi koledzy zastali mnie śpiącego a dookoła były porozstawiane kieliszki, szklanki i butelki. Od tego czasu na Łosiu gościmy przedstawicielstwo węgierskiej firmy Anico która oferuje ciekawy sprzęt światowych firm a niektórzy z uczestników wracają do domu z nowym radiem. Przyjaźnie wtedy zawarte trwają do dzisiaj ale to przecież normalne bo polak-węgier, dwa bratanki..... Tylko jeszcze trzeba być krótkofalowcem i wtedy dopiero jest miło. Fakt jest bezsporny, na żadne inne hobby nigdy bym się nie zamienił.

Co musi a co powinien strażak krótkofalowiec to temat na dłuższą dyskusję ja jednak przeżyłem dużo ciekawych zdarzeń bo na przykład powódź tysiąclecia w 1997 roku. Po powrocie z 24 godzinnej służby na stanowisku oficera dyżurnego PSP w Częstochowie nie poszedłem spać bo na moim wiejskim podwórku też działy się różne rzeczy i trzeba było ratować co się da. Koło południa jednak muszę iść do domu bo wołają mnie na strażackim radiu ale tym razem ochotnicy. Nasz gminny komendant pyta czy wiem coś o workach na piasek bo potrzebne. Tak wiem bo sam wydałem dyspozycję na kilka tysięcy sztuk w ciągu minionej doby. Jak dostaniesz samochód to pojedziesz... Pojadę bo jakie wyjście. Wracamy po około 3 godzinach z

dwoma tysiącami worków spakowanych w eleganckie paczki po dziesięć w każdej.

Składamy je z kierowcą w remizie sąsiedniej jednostki OSP Wrzosa bo tam jest miejsce i nareszcie mogę iść spać. Nazajutrz mam wolne więc zajmuję się domowymi robotami i w okolicach obiadu siadam żeby coś zjeść. Robię to jednak ze słuchawkami na uszach bo chcę wiedzieć jak rozwija się sytuacja powodziowa w kraju, jutro przecież na służbę. Na 80 metrach pracuje stacja ze sztabu powodziowego we Wrocławiu i słyszę powtarzaną zapowiedź, za chwilę bardzo ważny komunikat... Po paru minutach... We Wrocławiu brakuje worków, kto w kraju może pomóc w tej sprawie i tak kilka razy. Na strażackim kanale wołam komendanta gminnego ochotników. Dasz te nasze worki do Wrocławia bo pilnie potrzebne... Dam bo trzeba pomagać, słyszę w odpowiedzi. Jako pierwszy zgłaszam się do sztabu we Wrocławiu i informuję że mam do dyspozycji dwa tysiące, przyjmują i każą czekać na decyzję. Jako że propagacja nie ciekawa to i ze słyszalnością jest różnie więc w miedzy czasie dołącza kolega Mietek z Wrocławia, ma lepsze anteny i przekaz się poprawia, dużo później dowiedziałem się że to wysoko postawiony wojskowy który pomagał będąc w domu. Podaj koordynaty twojej miejscowości słyszę ze sztabu... Przygotujecie lądowisko dla helikopterów... Wiesz jak wygląda znak lotniczy lądowiska... Biały krzyż, trzy na trzy metry... Wiem, wszystko to pozytywnie a po chwili... Wystartowały do ciebie dwa helikoptery. No i zaczęła się akcja bo przecież nie można wyjść na durnia. Moja jednostka OSP pompuje wodę u sąsiada więc wysyłam syna... Leć po pana Zdziśka, to nasz kierowca, niech tu szybko przyjdzie. Razem podejmujemy decyzję że ja biorę żuka i po worki a oni drugim autem dojadą za chwilę jak pozbierają sprzęt. Zabieram do pomocy syna i w ostatniej chwili przypominam sobie o znaku lotniczym. Podbiegam do szafy i z pułki wygarniam wszystkie prześcieradła jakie tam były...

Wariat, słyszę od żony na odchodne, kupię ci nowe krzyczę i alarmowo, najszybciej jak się da jadę po worki. W drodze powiadam dyżurnego stanowiska kierowania o rozpoczętej akcji. Na miejscu uruchamiam syrenę bo przecież nie mam klucza i sami tego nie załadujemy. Przybiegają miejscowi strażacy i dojeżdża sąsiednia jednostka do pomocy /tydzień wcześniej zamontowałem im radio to słyszeli/ brawo jest nas więcej i wszystko idzie bardzo sprawnie. Trzema samochodami i alarmowo udajemy się na nowe miejscowe boisko które dopiero kilka dni temu zostało uruchomione. Tam jednak niespodzianka, dzień wcześniej ktoś zamontował wielką, ciężką, spawaną rur bramę która zamknięta kłódkę stanowi przeszkodę nie do zdobycia. Wtedy nie mieliśmy jeszcze sprzętu do cięcia i rozpierania więc coś trzeba wymyślić. Boisko jest położone blisko wsi więc słysząc sygnały strażackich wozów ludzie interesują się co się dzieje i zbiera się ich coraz więcej. Po chwili ktoś wpada na pomysł, zobaczcie tyłu nas jest, zdejmujemy bramę z zawiasów. Na trzy, cztery, siłą mięśni wielu ludzi brama ląduje na boku a my wjeżdżamy na boisko. Teraz jest szansa że zdążymy, rozstawiam samochody jak na lądowisku, na środku układamy krzyż z prześcieradeł i czekamy. Patrząc na to wszystko z perspektywy dowodzącego zastanawiam się czy czegoś nie pominąłem i oczywiście... Pęd powietrza od śmigieł porwie te prześcieradła i jeszcze spowoduje wypadek więc szybko wyznaczam dwóch sprytnych ludzi którzy na mój znak zbiorą to wszystko tuż przed lądowaniem. Teraz znów alarmowo do domu i informacja do sztabu że wszystko gotowe, mają gdzie lądować. Wracam na boisko i niespodzianka, ludzi jest tak dużo że zaczyna być niebezpiecznie bo kręcą się wszędzie. Strażacy jednak ustawiają zebranych do linii ławek i pilnują żeby nikt nie przechodził dalej. Niema jednak chwili oddechu bo w oddali słyhać warkot śmigłowców, włączamy sygnały na samochodach i za moment widzimy jak bliżej lecący spostrzega nasze

miejsce i zataczając kręgi podchodzi do lądowania. Za chwilę ląduje drugi a ja gestami porozumiewam się z załogami, zaczekać do wyłączenia śmigieł. Z zachowaniem służbowych reguł melduję starszemu stopniem wojskowemu gotowość do działań i konsternacja bo śmigłowce mogą udźwignąć po 800 kg a worki to ok 2000 kg więc wszystkich nie wezmą. Dochodzi słownych przepychanek z uśmiechem na ustach z naszymi strażakami.... To my się tu spieszymy jak możemy... Robimy co się da a ty nie weźmiesz... W efekcie załogi śmigłowców klęcząc na swoich siedzeniach układają podawane im paczki w tyle maszyny tak skutecznie że mieszczą się wszystkie co do jednej. Chwila pożegnania, meldunek o zakończeniu i startują a my po strażacku żegnamy ich pełnymi sygnałami. Lećcie szczęśliwie, my spełniliśmy nasz normalny obowiązek a wy szybko do Wrocławia bo taka jest w tej chwili potrzeba.

Udział brały jednostki OSP Przystajń, Wrzosa, Wilcza Góra i załogi śmigłowców Jednostki Wojskowej z Inowrocławia oddelegowane do Wrocławia na czas powodzi. Dla potomnych to wszystko opisał st.ogn. Marek Czarnecki SP9UO, siedemnaście lat na stanowisku oficera dyżurnego Komendy Miejskiej PSP w Częstochowie.